

(ur. 16 X 1913 w Bytyniu, syn Jana i Katarzyny z domu Łakuta, zam. Miłosna koło Warszawy, ul. Świętochowskiego 52).

17 września 1939 roku gdy armia sowiecka przekroczyła granicę polską, wraz z kolumną ministerstwa komunikacji znajdowałem się w lesie pod Trembowlą, a dokładnie w leśniczówce Ząscianeczek. W południe dotarła do nas wiadomość, że wojska sowieckie są już w mieście odległym o 9 kilometrów. Powstała panika.

Widzieliśmy samochody bocznymi drogami wracające od strony Zaleszczyk. Z tych samochodów ktoś wyrzucał pliki banknotów w lasach jeszcze nie rozciętych. Jedni brali je, a inni smucili się tym widokiem.

O godzinie 4 po południu dotarły do nas pierwsze patrole sowieckie. Ci żołnierze mieli pełne kieszenie niedojrzałych jabłek. Jedli je tak zachętnie, że im piana szła z ust.

Następnego dnia rano przyszli do leśniczówki. Wyciągnęli nas ze stodoły, z obórek, z domów i postawili pięćdziesięciu siedmiu pod parkanem. Ustawili dwa cekaemy. Z wykonaniem egzekucji czekali tylko aż wszystkich wyłapią. Zjawił się jednak patrol, który w nocy krążył wokół leśniczówki i zaświadczył, że stąd nikt nie strzelał.

Wyprowadzili więc nas na szosę i odstawili do Trembowli. Tam w gmachu sądu znajdowało się biuro repatriacyjne, które rejestrowało uciekinierów w Polski centralnej. Zapisłem się. Po tej rejestracji byliśmy prawie wolni.

Wraz z dwoma kolegami (Jan Kijko <sup>Y</sup> cukiernik z Warszawy i Heniek Biliński z Wołynia) zatrzymaliśmy się w Trembowli do czasu aż zaczęły iść pociągi. Po tygodniu udaliśmy się do Tarnopola.

Tam zamieszkałem na Lelewela pod 4 w bursie prowadzonej przez profesora Lerhera i panią profesor Vogel. Bardzo opiekowali się uciekinierami, zdobywali dla nich żywność.

W grudniu zacząłem pracować w kinie objazdowym. Ale już 8 grudnia gruchnęła wiadomość, że te pieniądze, które zarobiłem nie są ważne, tylko ruble. Zostaję bez grosza.

Była bardzo ciężka zima. Chorowałem, miałem odmrozenia rąk i nóg. Zostaję wysłany do Grzymałowa do stacjonarnego kina, a gdy zrobiło się cieplej, wróciłem do kina objazdowego, w którym pracowałem do wiosny 1941 roku.

Byłem świadkiem wywozek na Sybir. Zaczęło się w pierwszą niedzielę zapustną (ostatnie dni stycznia lub pierwsze dni lutego). Były straszne mrozy. W Tarnopolu podstawiono wtedy dwa ogromne składy, może po 120, może po 150 wagonów. Stały ponad dwa tygodnie. W dzień nic się nie działo. Aresztowali od 10 w nocy (a według radzieckiego czasu od 12). Wyglądali to tak: podjeżdżali samochodem, mieli dokładny adres. Dawali pół godziny na przygotowanie się. Ludzie byli dezorientowani, nie wiedzieli co ze sobą brać, miotali się, a czas leciał. Dwadzieścia minut, piętnaście. Tak więc właściwie pakowanie trwało z dziesięć minut. I prawie wszystko zostawiali. Mieszkanie dostawali zwykle jakiś enkawudysta.

Do wagonów nikt nie śmiał podejść. Przy co drugim stał żołnierz z karabinem i bagnetem na sztorc. Gdy tylko ktoś skreślił ze ścieżki dwa kroki w stronę pociągu, żołnierz krzychał: "Dawaj nazad!"

I ludzie siedzieli w tych wagonach. Przy każdej osi była dziura do zagatwiania. Pod wagonami rosły kopce. Co jakiś czas lokomotywa dawała do przodu, lub do tyłu metr, półtora.

To był pierwszy wywóz na Sybir. Drugi był w lipcu, w największe upały. Słyszałem jak ludzie krzydzeli w wagonach, prosili o wodę, ale nikt im nie podał. Potem już nie si chac było tego krzyku. Wtedy również wagony stały około dwóch tygodni.

Trzeci transport znów był zimą w styczniu 1941. Czwartego już nie zrobili, bo wybuchła wojna z Niemcami. Tak jak wtedy obliczano, z

ośmiu województu zabranych przez Sowieców, wywieziono około 4 milionów ludzi.

W 1941 roku, tuż przed świętami wielkanocnymi, pewnego dnia szedłem do pracy. Przed dworcem w Tarnopolu był duży plac. Zobaczyłem na nim około tysiąca Rosjan. To byli prawie kościotrupy. Po pięciu, po sześciu w gromadkach, siedzieli z podkurczonymi nogami. Każdy miał przy sobie kij. Nagle jeden Sowiec zwraca się do mnie: "Gołubczyk, doradź, pomóż mi wstać". Bałem się, ale podszedłem i wziąłem go pod pachy, a kości jego tak zatrzeszczały jak orzechy w worku. Nie wiedziałem co mam zrobić, czy trzymać, czy puścić.

Zdarzały się przecież takie przypadki, że przechodzien trafiał do takiej kolumny aresztantów. Na zawsze.

Puściłem go, a on dalej stał. Odszedłem. Obejrzałem się jeszcze kilka razy. On nie mógł zrobić kroku.

Byli to ludzie, których przez całą zimę trzymano w pociągu stojącym przy tym torze zbaraskim. Używano ich do sypania nasypów pod tor kolejowy od Głuboczka do Tarnopola przez rzekę i dolinę Serepu. Widziałem ich jak pracowali. (Chodziłem tamtędy do swojej wioski Protoczne, oddalonej 10 kilometrów, gdyż nie wolno mi było mieszkać w Tarnopolu ani w żadnych miastach wojewódzkich).

Wiem, że jest tam wielu ludzi zasypanych. Człowiek pchając wózek przewracał się i nikt go już nie podnosił, bo sam nie dał rady. Przysypywano go ziemią i już.

\*

Na drugi dzień po wejściu Niemców do Tarnopola poszedłem zobaczyć więzienie i gmach sądu. W piwnicach sądu były wykopane długie rowy na szerokość człowieka. Grzęzliśmy po kolana w błocie z krwi. I tak doszliśmy do ogromnej piwnicy pośrodku, która miała około 10 metrów na 10. Pełna była trupów. Kłofem obróciłem dwa ciała. Prawdopodobnie byli to piloci niemieccy, ręce mieli związane drutem do tyłu i poramane w kilku miejscach. Twarz to była jedna plama krwi.

I tak obeszliliśmy wszystkie pomieszczenia sądowe. Znalazłem tam dwa ogromne pokoje pełne dowodów osobistych. Byłem tak naiwny, że myślałem, że znajdę tam zabrane mi warszawskie prawo jazdy. To były pomieszczenia o wymiarach 3 na 5 metrów i wysokie na 3 metry. Od podłogi do sufitu pełne były dokumentów osobistych.

W jednej piwnicy znalazłem człowieka (nie miał chyba 30 lat), który był zakopany do ziemi po pępek. Ale głową w górę. W górę sterczały nogi w butach narciarskich, nawet nie zniszczonych.

I poszedłem dalej. Widziałem cele więzienne. Znalazłem kaplicę. Prawdopodobnie odbywały się tam jakieś przedstawienia. Tam, gdzie powinna być woda święcona, zrobiono spluwaczkę. Na podwyższeniu, gdzie kiedyś był ołtarz, znajdowała się scena.

Po jakichś dwóch tygodniach pojechałem z kolelgami do Warszawy. Po przyłączeniu Tarnopola do Generalnej Guberni wróciłem tam, aby zabrać resztę swoich rzeczy.

Wtedy powiedziano mi, że odkryto na dziedzińcu więziennym pod wschodzącą trawą wielką zbiorową mogiłę. Tych zabitych Niemcy ekshumowali rękami żydowskimi. Pochowano ich na cmentarzu za miastem. Widziałem ten grób. Usypano tam ogromny kopiec i ustawiono wysoki, drewniany krzyż. Ale zamiast pasyjki Pana Jezusa umieszczono tam ukraiński tryzub. A przecież najwięcej wśród ofiar było Polaków. Napis głosił, że spoczywało tam 18 tysięcy pomordowanych przez bolszewików.

Znajomi ze Lwowa opowiadali mi też o lwowskim więzieniu przy ulicy Grodeckiej. Zostało ono całkowicie spalone. Więźniom najpierw zamurowano okna. Ustawiono ich ciasno, jednego przy drugim, zamknięto drzwi i też zamurowano. Potem podpalono. Gdy przyjechałem do Lwowa

stanąłem na stopniach tego więzienia, lecz dalej nie wszedłem.